

O (niektórych) kłopotach politologów z filozofią polityczną

Wspominałem ongiś w artykule otwierającym wybór tekstów ze współczesnej filozofii polityki przygotowanym dla studentów politologii¹, że w pracy *Modern Political Thought* z 1991 roku Raymond Plant eksponował tezę, iż filozofii politycznej lub filozofii polityki (*political philosophy*) nie są w stanie zaakceptować ci, którzy negują możliwość wskazywania „twardych” bądź „stałych” podstaw normatywnych „życia politycznego”. Plant określał przy tym filozofię polityki jako dziedzinę filozofii moralnej, która koncentruje się na problemach uzasadnienia prawego (dobrego) działania i identyfikowania błędnych (złych) aktów władzy politycznej, zatem jako dziedzinę zdolną dostarczyć (i uzasadnić) kryteria pozwalające na zidentyfikowanie błędnych lub (z racji skojarzenia z filozofią moralną) złych nawet aktów władzy politycznej. Stawiał on też tezę kolejną, iż porzucenie przez negatorów filozofii polityki stanowiska umożliwiającego jej tworzenie, negowanie przez nich „fundacjonalizmu”, prowadzi w istocie do przyjęcia przez tych negatorów, a nie „budowniczych filozofii polityki”, opcji, która redukuje poszukiwanie danych w świecie moralnym i politycznym do uczuć tylko i preferencji jednostkowych lub grupowych, w każdym razie partykularnych, uznając je za „elementarne fakty”, jako jedyne decydujące o zachowaniach w świecie politycznym. Ujęcie owych negatorów uzasadnia więc w najlepszym przypadku potrzebę rozwijania „psychologii politycznej” i jeszcze ważniejszej być może dziedziny (ale wspartej na założeniach tamtej) zwanej socjologią polityki, to znaczy rozwijania dziedzin nieodwołujących się do żadnej „filozofii polityki” jako – raz jeszcze – dziedziny filozofii moralnej: skoro nie jest możliwe z punktu widzenia pewnej, obowiązującej zapewne, „wizji naukowości” odnalezienie powszechnie ważnej, bo właściwej wszystkim ludziom jako przedstawicielom gatunku ludzkiego „podstawy racjonalnej i obiektywnej” ich preferencji i uczuć, to nie jest też możliwe prowadzenie poważnych poszukiwań tego rodzaju wizji ani oczekiwanie, że można by było wesprzeć na tym, czego niepodobna odnaleźć w kryteriach stosujących się do świata politycznego, przynoszących miary „dobrego życia” czy „politycznej prawości”. Tym samym zostały zdyskwalifikowane jako „nienaukowe”, dokładniej: nieodpowiadające negatorom roszczeń filozofii polityki, takie projekty teoretyczne, które odwoływały się do koncepcji „stałej natury gatunkowej” człowie-

¹ O problematyczności filozofii polityki (wraz z D. Pietrzyk-Reeves), w: D. Pietrzyk-Reeves, B. Szlachta (red.), *Współczesna filozofia polityki. Wybór tekstów źródłowych*, Kraków 2003, zwłaszcza s. 7–12.

ka (prawo naturalne w ujęciu klasycznym) lub sprawiedliwości, najlepszego ustroju lub uprawnień i powinności jednostek albo i „dystrybutywnej organizacji społeczeństwa”; wszystkie te projekty, które wciąż są wspominane przez badaczy historii myśli politycznej i wciąż bywają budowane przez stosunkowo licznych jednak nawet po 1989 roku autorów, zasadzały się na tezie o kognitywnym charakterze zasady, na której się wspierały i na bazie której ich wyznawcy pretendowali do formułowania obiektywnych lub/i intersubiektywnie poprawnych miar oceny świata politycznego; miar uchwytywanych przez ludzki umysł bez sięgania do treści Objawienia (wbrew temu, czego chcą niektórzy przynajmniej, wcale liczni obecnie „teologowie polityczni”), bo tylko w oparciu o doświadczenie albo rozstrzygnięcia rozumu dokonywane *a priori*, przed wszelkim doświadczeniem albo z jego pominięciem².

Można, oczywiście, zastanawiać się nad tym, czy takie podejście nie otwiera drogi w kierunku ustanowienia prawidłowości stwierdzanych przez psychologów i socjologów jako nowych miar, zatem czy teraz ich ustalenia nie wkraczają w rolę dawnych miar szukanych przez filozofów polityki; można się nawet zastanawiać, jak czynił w poprzednim wystąpieniu prof. Ryszard Legutko, czy nie korzystają z tego współcześni „liberalni demokraci”, którzy wskazują pewne prawidłowości naszych zachowań i czynią je miarami mającymi nawet – podobnie jak w projekcie bolszewicko-komunistycznym – wsparcie ze strony nauki, ściślej: dziedzin lepiej niż uśmiercona filozofia polityki spełniających wymagania „naukowości”; można również szukać powodów takich zabiegów i deprecjonować z ich perspektywy wciąż pojawiające się próby „neutralizacji” świata politycznego, jakby zapominając o założeniach pierwotnych, wszak deprecjonujących wszelką neutralność z racji zróżnicowania wszelkich subiektywnych potrzeb, preferencji bądź odczuć. Wszystko to można czynić, jak można czynić wiele więcej, choćby opierać poszukiwania prowadzone w tym zakresie na szerszych projektach filozoficznych, zwłaszcza z zakresu epistemologii, stanowiących punkty oparcia nawet dla autorów z kręgu tak zwanej demokracji agonistycznej (można nawet, wzorem Księdza Rektora, prof. Władysława Zuziaka, przedstawiać rozważania wsparte na projekcie etyki absolutnej).

Problem, na który chciałem zwrócić Państwa uwagę, nie jest (przynajmniej pozornie) tak fundamentalny. Jest to jednak w moim odczuciu problem istotny, który należy dostrzegać zwłaszcza wtedy, gdy zastanawiamy się nad kondycją poszczególnych dziedzin nauk humanistycznych lub/i nauk społecznych, które zapewne powinny z sobą korespondować. Idzie bowiem o problem stosunku badaczy zjawisk politycznych i urzędników określających podejmowane przez nich pola badawcze do filozofii polityki; więcej nawet: o stosunek urzędników, a w dalszej kolejności badaczy, do tre-

² R. Plant, *Modern Political Thought*, Oxford 1991, s. 2–4. Plant przypomina zarazem, że w 1956 roku Peter Laslett, amerykański politolog nawiązujący do psychoanalizy, obwieścił śmierć filozofii polityki, dokonującą się (a nawet dokonaną) w następstwie dominacji logicznego pozytywizmu, który eksponował niekognitywny, a w konsekwencji nienaukowy i nieakademicki walor tej dziedziny wiedzy dotąd uznawanej. Nie wdając się szerzej w zagadnienie filozoficznego uwikłania orzeczenia danego przez Lasletta, ośmielam się odesłać Czytelnika do rozważań zamieszczonych w tekście przywołanym w przypisie 1.

ści kształcenia studentów politologii. Nie jest to problem polski jedynie, ma on walor daleko powszechniejszy; nie zrodził się on w 1989 roku, choć rok ten stanowić może osobliwą cezurę dla urzędników, badaczy i adeptów studiów politologicznych, którzy w krajach podobnych do Polski, jak ona pozostających przez kilkadziesiąt lat w odrealnionym „świecie ideologii”, odzyskali wówczas szansę na prowadzenie rzetelnych badań i studiów. Być może właśnie z uwagi na pozostawanie tak długo w „okowach ideologii” poszli oni w kierunku akceptacji tezy o konieczności porzucenia wszelkiej filozofii polityki jako dziedziny filozofii moralnej; być może każdą próbę filozoficzno-polityczną mieli za naznaczoną ideologicznie albo przynajmniej za zbliżającą się do jakiejś ideologii, bo zasadniczo wymagającą abstrahowania od subiektywnych odczuć, preferencji itp. W nadziei uprawiania (wreszcie) „aideologicznej”, „naukowej nauki o polityce” zdecydowali o ograniczeniu namysłu i poszukiwań politologów do zdań opisujących fakty zmysłowo postrzegane, do analizy rozwiązań instytucjonalnych, partii politycznych, doświadczanych powszechnie przejawów integracji regionalnej, a nawet globalnej, do analizy bieżących wydarzeń politycznych zachodzących w różnych regionach świata, śledzenia zależności itd., jakby zapominając, że podobny problem mieli już starożytni Grecy, tworzący przecież zręby namysłu filozoficznego obok analizy tego, co zmysłowo uchwytne. Filozof polityki, który wygłasza opinie na temat faktów i dokonuje uogólnień albo nawet formułuje normatywne kryteria pozwalające wartościować działania polityczne, w ich opinii zdawał się wykraczać poza dziedzinę nauki i jako taki przestawał uprawiać „naukowe nauki o polityce”, zbliżając się do pozycji niebezpiecznego ideologa. Mógł on, owszem, zając się „niegroźną” metodologią nauk, mógł zając się analizą zmiennych znaczeń słów, mógł też uogólniać to, o czym mówili psychologowie polityki i socjologowie polityki³. Jego odrębność stawała się względna, jeśli nie iluzoryczna.

³ Wystarczy przywołać kilka zdań pomieszczonych przez Davida Robertsona w ogłoszonym niedawno po polsku *Słowniku polityki* (tłumaczenie trzeciego wydania *The Routledge Dictionary of Politics*), by unaocnić po części problem nas interesujący. W hasle „Politologia” czytamy bowiem, że – z jednej strony – współczesna politologia „nie posiada jednolitego zbioru wiedzy czy nawet powszechnie uznawanej metodologii, [lecz] tworzy raczej zbiór subdyscyplin, a uprawiający jedną z nich nie muszą uznawać innych politologów za przedstawicieli wspólnej dyscypliny (z wyjątkiem tematyki)”. Z drugiej strony dowiadujemy się, że wśród subdyscyplin występują (na pierwszym miejscu) filozofia polityki, a na kolejnych teoria polityki porównawczej, socjologia polityki, stosunki międzynarodowe „i, być może, historia polityki” (zauważmy na marginesie, że w wyliczeniu tym brak psychologii polityki i metodologii, chyba że ta ostatnia mieścić się ma w obrębie filozofii polityki, skądinąd w pracy Robertsona nie omawianej szerzej; jest w niej natomiast hasło „Teoria polityki”, choć dziedzina ta nie została zaliczona do subdyscyplin współczesnej politologii; dodajmy jednak również, że teoria polityki ma się zajmować zarówno „filozoficznym badaniem znaczenia”, kojarzonym z „logiką wartości politycznych”, jak i empirycznymi badaniami nad polityką, odnosząc się do niej „w ten sam sposób co fizyka teoretyczna do stosowanej”; słowem: „teoria polityki próbuje łączyć intuicje, dane i rozumienie badaczy aktualności politycznych w spójną, wyjaśniającą teorię (czy teorie) politycznych zachowań, zdolną nawet do przewidywania”). Dopowiedzmy i to, że zdaniem brytyjskiego autora z St. Hugh College w Oksfordzie „stale polepsza się szkolenie umiejętności technicznych [politologów] (szczególnie w zakresie technik ilościowych)”, a co szczególnie charakterystyczne dla naszych rozważań „dokonuje się także postęp w tworzeniu uogólnień opartych na danych

Istotne były konsekwencje tego stanu: filozofia polityczna bądź filozofia polityki nie pojawiły się po 1989 roku na polskich uniwersytetach w jednostkach kształcących młodych politologów; ba, nawet filozofia jako dziedzina przygotowująca do studiowania jednego z najważniejszych przedmiotów teoretycznych na studiach politologicznych – historii myśli politycznej – zanikła, usunięta ze zbioru przedmiotów kanonicznych, tak jakby adept tych studiów nie musiał nic wiedzieć na przykład o treści sporu o uniwersalia, by pojąć dyskusje toczące się wokół prawa naturalnego jako zespołu norm chroniących gatunkowe treści obecne w każdym podmiocie albo jako możliwości przysługujących każdemu podmiotowi. Politolog nieznający podstawowych informacji o historii filozofii zachodniej, niemający żadnej wiedzy przykładowo o krytycznej filozofii Kanta, nie jest przecież w stanie zrozumieć sporów toczących się nie tylko w XIX, ale także w XX i XXI stuleciu; sporów nie *stricte* filozoficznych, ale takich, które dotyczą najważniejszych dla tak zwanego porządku politycznego kwestii. Nie jest w stanie zrozumieć, dlaczego toczy się na przykład spór o aborcję czy eutanazję, o wzajemne respektowanie uprawnień jednostek lub grup, chyba że poprzestanie na poziomie zrozumienia dostępnym (niemal) wszystkim odbiorcom przekazów medialnych: iż są „siły” wspierające poszczególne punkty widzenia i chodzi tylko o to, by doprowadzić do „konsensualnego” przyjęcia przez nie pewnego rozwiązania pośredniego; rozwiązania możliwego do przyjęcia dla każdej ze stron⁴. Problem tkwi jednak w szczególności w tym, by politolog rozumiał poszczególne stanowiska wyjściowe, a dokładniej, by rozumiał teoretyczne podstawy tych stanowisk, a nie tylko objawy zewnętrzne ich prezentacji kierowanej do „masowego odbiorcy”. Do tego przecież powinno zmierzać kształcenie politologa, by przekraczał poziom dostępny takiemu odbiorcy, by umiał wesprzeć demokratycznego prawodawcę, wyartykułować istotę poszczególnych stanowisk, a przez to dostarczyć rzetelnej wiedzy o ich treści. Przecież to do niego należy ta dziedzina, które nie jest dostępna prawnikowi, zainteresowanemu współcześnie, w dobie dominacji podejścia pozytywistyczno-normatywistycznego, badaniem treści przepisów prawnych ustalonych przez prawodawcę mającego „mandat demokratyczny” i ewentualnie obroną tych treści przed atakami ze strony samego prawodawcy, który winien respektować treść ustawy zasadniczej. Jeśli jednak prawnik zajmuje się faktami, tym, co zostało zapisane w przepisach, to politolog zajmować się tym nie powinien, jak nie powinien się zastanawiać jedynie nad przyczynami postanowień przyjętych przez prawodawcę (i szerzej: podjętych decyzji politycznych), bo wchodzi w rolę tylko psychologa polityki, i jak nie powinien się zajmować ewentualnymi następstwami tych postanowień/decyzji, ponieważ ogranicza się do sfery interesu-

empirycznych oraz modeli analitycznych podobnych do na przykład tych ekonomicznych” (tłum. M. Dera i in., Warszawa 2009, s. 328, 446).

⁴ Pozwolę sobie nie podejmować ważnego niewątpliwie wątku, na który naprowadzają rozstrzygnięcia przyjęte przez polskie Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego, dotyczącego wciąż obowiązujących tzw. minimum programowych dla kształcenia studentów na kierunku politologia: kurs filozofii w ogóle nie pojawia się w nich, na tzw. drugim stopniu kształcenia pojawia się natomiast „Filozofia i etyka polityki” (wykładana niekiedy bez elementarnego, wszak niewymaganego, kursu historii czy podstaw filozofii).

jącej socjologa (może nawet socjologa polityki). Jego zadanie jest obszerniejsze, bardziej rozbudowane: w Polsce pytania o normatywne podstawy polityki nie są przecież często stawiane przez filozofów akademickich, mających zbyt często politykę za dziedzinę tak rozedrganą, że niegodną zainteresowania poważnego filozofa (stąd w nielicznych jednostkach kształcących magistrów filozofii istnieją zakłady czy katedry filozofii polityki). Jest to sytuacja różna od istniejącej na tak zwanym Zachodzie, gdzie filozofia polityki jest dziedziną badaną w obrębie nauk filozoficznych. Ta różnica winna być dostrzeżona przez urzędników i badaczy, a także przez studentów politologii; wszystkie trzy grupy powinny w szczególności dostrzec, że przy braku zainteresowania „zawodowych filozofów” to w jednostkach akademickich kształcących politologów muszą powstawać zakłady czy katedry, których pracownicy podejmą wreszcie „nieideologiczny” namysł nad najważniejszymi pytaniami teoretycznymi, przed jakimi staje obecnie „świat polityczny”. Nie idzie przy tym o namysł dotyczący faktów, ale raczej o refleksję o granicy oddzielającej to, co faktyczne, od tego, co normatywne, o refleksję nieobecną u prawników i „zawodowych” filozofów, a szkoda, ale nieobecną też u socjologów i psychologów, co zrozumiałe: refleksję o w istocie podstawach faktycznych obowiązującego dziś i zajmującego prawników obszaru norm prawnych.

Politolodzy wciąż mogą badać jedynie zachowania polityczne w polu empirycznie uchwytym; wciąż mogą obierać redukcyjne podejścia behawioralne, funkcjonalistyczne czy instytucjonalne, zbliżając się do ujęć dominujących w socjologii, i zatracać swą odrębność; mogą identyfikować filozofię polityki z myślą polityczną, nie ucząc odróżniania opinii i wiedzy i nie podejmując systematycznego namysłu nad potrzebą nawet zastąpienia opinii o podstawach polityki wiedzą o nich, a przynajmniej wiedzą o podstawowych sporach, które toczą się współcześnie i które być może będą mieć istotniejszy wpływ na naszą przyszłość niż rozstrzygnięcia o charakterze instytucjonalnym.